

Z **PIOTREM AUGUSTYNIAKIEM***,
FILOZOFEM, BYŁYM DOMINIKANINEM,
ROZMAWIAŁA **VIOLETTA SZOSTAK**

Odszedł pan z zakonu, stracił wiarę, pisze książkę o Jezusie. Po co niewierzącemu Jezus?

– Zastosowała pani duży skrót czasowy. Napisałem tę książkę po wielu latach życia poza Kościołem.

I po 10 latach „ogromnej pracy włożonej w to, żeby przepracować chrześcijański background” – jak wyznaje pan w książce „Jezus Niechrystus”. Nie da się po prostu wyjść z Kościoła?

– Władza, jaką ma narracja kościelna nad takim człowiekiem, jakim ja wówczas byłem, jest ogromna. Nawet jak odrzucimy życie kościelne, to trzyma nas w szachu. Myślę, że dotyczy to wielu ludzi.

Kiedy znalazłem się poza tą instytucją, wiedziałem na pewno, że chciałem zająć się filozofią, w której czuję więcej wolności i prawdy. Ale wiedziałem też, że pokłady chrześcijaństwa są cały czas we mnie. Zacząłem więc pracę filozoficzną od zmierzania się z chrześcijaństwem. Uważałem, że to będzie uczciwsze niż powiedzenie w sposób prosty: „jestem niewierzący i mam to w nosie”. Dziś mówię jednoznacznie: jestem człowiekiem niewierzącym w tym znaczeniu, że nie utożsamiam się z chrześcijańskim sposobem myślenia o tym, co jest sensem życia, drogą człowieka.

Kiedyś wierzył pan żarliwie. Skąd taka wiara? Pochodził pan z religijnej rodziny?

– Tak, rodzice są wierzący, praktykujący. Ale myślę, że miałem w sobie intensywne nakierowanie na sacrum, na kwestie metafizyczne, ostateczne. To nawet zaskakiwało moich najbliższych i budziło obawy. Nie marzyli chyba, że wybiorę karierę duchownego. Wstąpiłem do zakonu wbrew otoczeniu. Z mojego punktu widzenia to była forma powiedzenia światu „nie”, rodzaj buntu.

Dziś wiem, jak wiele było w tym młodeńczego przerażenia światem, odpowiedzialnością, którą trzeba podjąć, lęku przed ryzykiem życia na własny rachunek. Wejście w struktury Kościoła fantastycznie od tego zwalniało.

Opisuje pan taką scenę: chłopiec ma 12 lat, leży na podłodze w domu, przerażony tym, co przeczyna o świecie, i z tego lęku wyzwala go spojrzenie na wiszący na ścianie krucyfik. Przerażenie zamienia w religijną ekstazę. To pan był tym chłopcem.

– Był taki moment, ale nie jedyny. To ciąg doświadczeń, które miałem, wchodząc w dojrzwanie. Wychowywałem się na wsi na Żuławach Wiślanych, na terenie – powiedziałbym – kulturowo ubogim. Dookoła wsie PGR-owskie, moi koledzy ze szkoły stamtąd pochodzili, odczuwałem atmosferę, jaka była tam na początku lat 90., po prostu beznadziei. Mnie niczego nie brakowało, rodzice byli nauczycielami, zapewnili mi szczęśliwe dzieciństwo, ale gdy zacząłem dojrzewać, zobaczyłem, że to iluzja, bo za oknami mojego domu jest masa biedy. Myślę, że także dlatego odczuwałem ten niepokój. Pod koniec szkoły podstawowej już wiedziałem, że wiara jest jedyną rzeczą, która może mnie ocalić, że mi wszystko tłumaczy, rozwiązuje nierozwiązywalne problemy, daje poczucie sensu.

Po maturze poszedłem jeszcze na medycynę. W Gdańsku, gdzie studiowałem, był wtedy słynny dominikanin Michał Ziolo, który prowadził spektakularne duszpasterstwo akademickie. Coś mnie tam ciągnęło autentycznego. Poczucie, że jeżeli gdzieś jest odpowiedź, to właśnie w takim pogłębionym podejściu do wiary jak u dominikanów. Jeszcze rok odwlekałem decyzję, bo czułem jednak tę presję rodziny. Trafiłem tam dwa lata po maturze.

I co pan tam znalazł?

Odchodzenie z Kościoła

JEZUS WYJĘTY Z SOŚSU

Jezus mówi – możecie być wolni, królestwo życia jest w was. A Kościół dodaje: ale pod warunkiem, że będziecie nam posłuszni.

– Najpierw nielatwy okres nowicjatu, zamknięcie w małej grupie, w rygorze modlitewnym, dyscyplinującym, w poczuciu ogołocenia. Potem studia w dominikańskim Kolegium Filozoficzno-Teologicznym, gdzie mieliśmy znakomitych wykładowców. Dominikanie do dzisiaj są w Kościele elitą, awangardą, jest tam wiele wspaniałych osobowości.

Ale jestem przekonany, że systemowo to się nie broni. Po dwóch latach wewnątrz instytucji uruchomiły mi się wątpliwości – na różnych poziomach. Zobaczyłem i hipokryzję wielu ludzi ją tworzących, i to, na czym opiera się cały ten system. Jak dużo w katolickim sposobie włączania człowieka w krąg swoich wpływów jest przemocy, strachu, budowania poczucia winy. Intensywnie doświadczałem tego przez kilka lat.

Perspektywa wiary w Jezusa Chrystusa, który nam, upadłym ludziom, niesie zbawienie, uwiązuje człowieka na bardzo krótkiej smyczy kościelnej instytucji. Zamyka w błędnym kole grzechu, doznawania przebaczenia, wdzięczności, a potem kolejnego upadania, lęku o zbawienie, konieczności wyjednywania łaski i poczucia, że jestem sam w sobie beznadziejny, bo grzeszny. To jest coś, co rozmija się z sensem – jak ja to dziś rozumiem – bycia człowiekiem.

Przytacza pan wspomnienie z zakonu, które nazywa „zabawnym”. Opisuje pan Z. – tak go pan nazywa – ówczesnego prowincjała dominikanów: „Z. jest apodyktycznym przełożonym. Ambitnym wizjonerem, bezwzględnie realizującym swoje cele. Albo grasz z nim w jednej drużynie, albo jesteś wrogiem, którego trzeba złamać lub uciszyć. Jeśli się nie dasz złamać, wypadasz z gry – odchodzisz. Z. to wybitna postać polskiego życia publicznego. Dzięki sieci kontaktów wśród polityków, ludzi biznesu i kultury realizuje plan tworzenia w Polsce nowych katolickich elit. Prozachodnich, ale konserwatywnych (spod jego skrzydeł wyszło kilka prominentnych postaci świata politycznego i dziennikarskiego)”. Wśród zakonnej młodzieży „tropi odszczepieńców, tępi niepokornych

i niezależnych”. I opisuje pan swoje z nim zderzenie – zrugał pana za odbiegający od ortodoksji tekst napisany na drogę krzyżową. Zabawne?

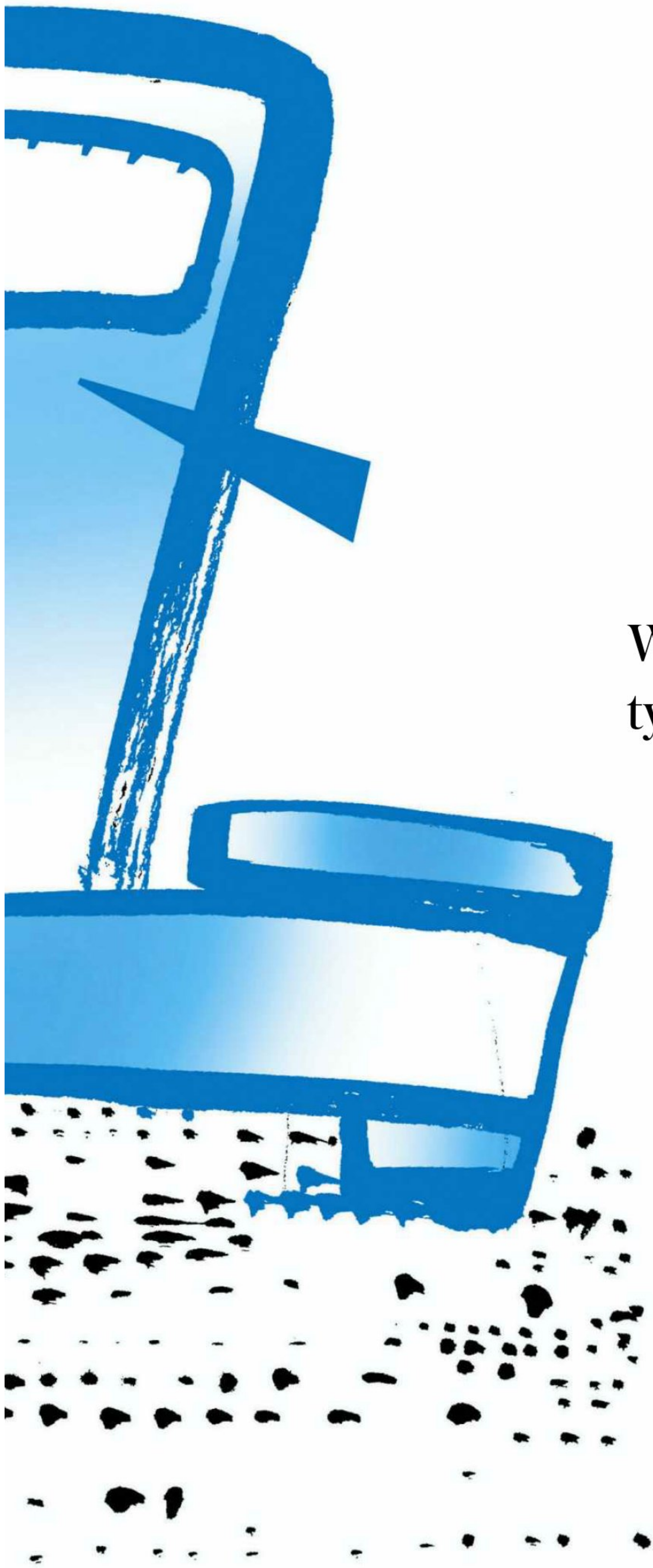
– „Zrugał” to jest delikatnie powiedziane. Nazwałem to wspomnienie zabawnym trochę przekornie, żeby podkreślić dystans, jaki mam dziś do tego. Myśmy żyli wtedy w ciągłym poczuciu strachu i wewnętrznej dezorientacji. Ale dziś myślę, że może gdyby nie to zderzenie z Z. i jego mobbingowym zarządzaniem instytucją zakonną, z tym odwracaniem ciągle języka dobra i zła, ciągłą przemocową próbą podporządkowania sobie zwłaszcza młodych ludzi na zasadzie bezwzględnego posłuszeństwa – może jeszcze bym się ludził co do tej instytucji.

Po tamtym doświadczeniu pan odszedł.

– Przyjąłem tego „kopa” i zdołałem wyciągnąć z niego pozytywną energię. Żeby wyjść i podjąć całe ryzyko życia. Choć to było ekstremalnie trudne. Proszę sobie wyobrazić, pięć lat jednak żyłem poza normalnym obiegiem. Wychodziłem jak do innego świata. Telefon komórkowy wprawdzie już miałem – starą Nokię – dostałem nielegalnie na czwartym roku od księdza Jana Kackowskiego, z którym znaliśmy się z czasów gdańskich. Kumplowaliśmy się z Janem, odwiedzał mnie w zakonie, zabierał nielegalnie na piwo. Prawie wszyscy potajemnie piliśmy z tego ciągłego napięcia.

Dlaczego używa pan tylko inicjału Z.? Przecież i tak każdy może sprawdzić,





ILUSTRACJA TOMASZ WAWER

kto był wtedy prowincjałem dominikanów – Maciej Zięba.

– Posłużyłem się inicjałem, bo nie mam ochoty epatować nazwiskiem, którego wolałbym nie pamiętać. I też dlatego, że to był w gruncie rzeczy bardzo biedny, pogubiony człowiek. Używając inicjału, chciałem podkreślić, że nie chodzi o wyjątkową sytuację, której winny jest konkretny człowiek, ale o przykład tego, co permanentnie dzieje się w instytucji kościelnej. Z. umarł w czasie, gdy pisałem tę książkę. Żałuję, że nie przeczyta i nie odpowie.

A poza tym to nie jest książka o nim ani nawet o mnie. Chciałem napisać o Jezusie, który nie jest Chrystusem. Ale gdy się do tego zabrałem, uznałem, że nie powinienem się chować tylko za refleksją filo-

zoficzną, bo to część mojego życia. Postanowiłem, że o moim życiu opowiem, żeby pokazać ludziom, którzy może też jakoś borykają się ze swoim uwikłaniem w kościelność, że pozytywne przekroczenie jest możliwe.

Mijają lata, czuje się pan już wolny od Kościoła, jedzie jednak zwyczajowo do rodziców na Wielkanoc i nagle podczas słuchania w samochodzie piosenki Johna Lennona przychodzi do pana myśl o Jezusie?

– Ten Jezus chodził mi po głowie jako alternatywna opowieść. Ale rzeczywiście Wielkanoc to uruchomiła. Ciągłe mnie uruchamia, ale bardziej jako własne wspomnienie, a nie w sensie praktyki religijnej. Przy-

wołuje na myśl dzieciństwo, chodzenie na wsi do kościoła, zawodzenie kobiet, zapach wiejskiego obejścia, kosmiczną aurę czegoś wyjątkowego. Liturgia chrześcijańska w tym czasie ma w sobie pokłady autentycznego misterium, styku z tajemnicą istnienia, śmierci i odradzania się życia. Problem polega na tym, że jak się to potem tłumaczy z ambony czy w katechizmie, to zostaje doktryna sucha i martwa.

Nie pieśni wielkanocne jednak w panu uruchomiły myśl o Jezusie, ale „Imagine” Lennona.

– Bo „Imagine” ma w sobie potencjał wypowiedzenia we współczesnym języku tego impulsu, który moim zdaniem był obecny w Jezusie.

Wyobraź sobie, że nie ma piekła, nie ma nieba, nie ma krajów, nie ma za co zabić ani za co umierać, nie ma majątków, chciwości i głodu, a wszyscy ludzie są wspólnotą. I religii nie ma również.

– Nie chcę dokonywać kanonizacji Lennona, natomiast w tym tekście czy jesz-

Prosty przykład. Jezus mówi: nikogo nie nazywajcie mistrzem. Nikogo nie nazywajcie ojcem. Nikogo nie nazywajcie nauczycielem – również mnie. On nie uważał się za mesjasza. I to jest coś radykalnie antykościelnego. Bo Kościół jest oparty na hierarchii, to instytucja skrajnie patriarchalna – kapłan, biskupi, arcybiskupi, a na dole wierni. W tym sensie Jezus nie należy do Kościoła, jego impuls jest antykościelny. On jest antyinstytucjonalny, a powołując się na niego, buduje się instytucję. To wręcz perwersyjny rdzeń chrześcijaństwa.

Jezus mówi też: możecie być wolni tu i teraz, bo królestwo życia jest w was. I mówi, jak to królestwo odnaleźć – przez pewną etykę życia, praktykę przekraczania siebie. A potem Kościół mówi: no tak, możecie być wolni, jak mówi Jezus, ale pod warunkiem, że oddacie swoją wolność i będziecie posłuszni Kościołowi.

Dlatego jestem radykalnym krytykiem chrześcijaństwa. Ale to nie oznacza, że tego wspaniałego wyzwającego impulsu, który jest w Jezusie, nie należy szukać i oczyszczać z kościelnego sztafażu.

W Kościele nie szuka się u Jezusa inspiracji, tylko prosi o łaskę. **To nieporozumienie**

cze późniejszym – „God” – jest myśl bliższa wrażliwości Jezusa. Wewnętrzna wolność i odwaga marzenia o świecie wolnym od brudu, który – im dłużej żyjemy – tym bardziej jesteśmy przyzwyczajeni akceptować. Jest w tym coś wywrotowego, idącego w poprzek praktykom życiowym współczesnych ludzi. Takie postaci jak Lennon współcześnie czy Jezus wówczas potrafiły odważnie mówić o tym marzeniu o świecie czystym, wolnym od przemocy, także tej instytucjonalnej.

„Nie wierzę w Jezusa” – śpiewał jednak Lennon w „God”. Ale też – nie wierzę w Buddę, Elvisa, Hitlera, królów, Beatlesów...

– Jezus nie chciał, by w niego „wierzyć”. O tym też jest moja książka.

To jeszcze raz: po co człowiekowi niewierzącemu Jezus? I kim jest ten pana Jezus, który nie jest Chrystusem?

– Umiałbym dziś poradzić sobie bez Jezusa. Jednak uważam, że jest w nim coś, co rzadkie w historii zachodniego świata, co warto wydobyć.

Wydobyć z „kościelnego sosu”, jak pan mówi.

– W Kościele o Jezusie się nie myśli, w Jezusa się wierzy. Nie szuka się u niego inspiracji, tylko prosi o łaskę. To jest moim zdaniem nieporozumienie. Uważam, że warto ludziom, którzy są tym tabu Jezusa spętaani, pomóc, pokazując inne jego oblicze.

Nie po to, by ocalić świat chrześcijańskich instytucji czy obyczajów. Przeciwnie. W momencie, kiedy one odchodzą w przeszłość, dotknąć tego, co jest tą formą chrześcijańskiego świata przysypane. Pokazać, że można na własną rękę dotknąć tego, co na dnie albo nawet pod dnem chrześcijaństwa. I wykorzystać to do pozytywnej wędrowki przez życie.

Mówi pan, że Jezus był kimś innym niż Chrystus, w którego zamieniło go późniejsze chrześcijaństwo. I zdaje się pan mówić, że w Kościele katolickim Jezus jest martwy.

– Wisi na krzyżu i jest niestety – to będzie pewnie bolesne dla wielu, co powiem – fetyszem, talizmanem. I tutaj się jego rola w dużym stopniu kończy. Jego życie, wrażliwość nie przebijają się w przestrzeni kościelności.

Choć można sobie oczywiście powiedzieć: dajmy sobie spokój z Jezusem, niech odejdzie w przeszłość z całym chrześcijaństwem.

No właśnie.

– Można tak zrobić. Ale jestem przekonany, że część naszych problemów z sekularyzacją w Polsce wynika z tego, że chociaż wielu z nas mówi dziś Kościołowi jako bytowi instytucjonalnemu „nie”, dystansuje się i krytykuje jego praktyki, to jednak ciągle jesteśmy zakładnikami kościelnej opowieści o Jezusie. O Jezusie, który mówi, że to Kościół ma klucze do królestwa Bożego, że wasze zbawienie jest możliwe tylko w Kościele, że Jezus chce, żebyście chodzili do spowiedzi i słuchali biskupa.


A skąd wiemy, czego Jezus naprawdę chciał, co mówił? Ewangelie zostały napisane przez innych, to historia „wędług” ich autorów.

– Oczywiście moja książka też jest pewną interpretacją. Wydaje mi się, że Jezus mówił i myślał w taki sposób. Ale też nie mogę powiedzieć, że z całą pewnością tak było, stałbym się wtedy fundatorem nowego Kościoła.

Ewangelia według Piotra Augustyniaka?

– Ktoś mi to już zarzucił. Ale tradycja poprawiania Ewangelii czy dopisywania kolejnych wersji jest długa – wspominam w książce i Nietzschego z jego „Tako rzecze Zaratustra” i „Antychrześcijaninem”, i Bułhakowa piszącego swoją Ewangelię według Mateusza, zupełnie inną opowieść o Jezusie...

„Ci dobrzy ludzie niczego nie studiowali i wszystko, co mówiłem, poprzekręcali. W ogóle zaczynam się obawiać, że te nieporozumienia będą trwałe jeszcze bardzo, bardzo długo. A wszystko dlatego, że on niedokładnie zapisuje to, co mówię” – mówi Jezus u Bułhakowa o tych, którzy spisują jego słowa.

– Jeśli Jezus jest tabu, fetyszem, o którym się nie myśli, to może jedynym lekarstwem jest właśnie tworzenie takich alternatywnych opowieści wynikających z osobistego przemyślenia jego postaci. Zresztą całe wczesne chrześcijaństwo to też historia apokryfów, polifonicznego mitu tej osoby, a nie jednej doktrynalnej wykładni. 

➤ Ale chcę też bronić rzetelności mojej pracy. Opieram się na ustaleniach biblistów. Wybieram słowa z Ewangelii Łukasza i Mateusza, które na podstawie badań biblijnych i literaturoznawczych uważa się dzisiaj za najstarsze pokłady tych Ewangelii, czyli najbliższe źródła. Z badań wynika, że Jezus był postacią historyczną, nauczał, i z Ewangelii można wyluskać słowa zbliżone do jego własnych. Nigdy nie będziemy wiedzieć z całą pewnością, co powiedział, ale na pewno im starsze te teksty, tym większe jest prawdopodobieństwo, że są bliskie jemu. Jeżeli Jezus mówi o sobie, że jest mesjaszem, i idzie do Jerozolimy, żeby zbawić świat jako ukrzyżowany i zmartwychwstały syn Boga – to wiemy, że to nie jego słowa, ale świadectwo wiary w niego, która się tworzy już po jego śmierci, język rodzącego się dogmatu. Gdy mówię jednak „królestwo Boże jest w was” (Łk 17,21) – to coś radykalnie innego. Próbuję odczytać sens takich słów.

Co one dla pana znaczą?

– Jest w nich wizja człowieka, życia, która może być i dzisiaj wyzwalająca. Już poza kontekstem Kościoła, chrześcijaństwa.

Jezus był głosicielem królestwa Boga. Ja próbuję pokazać, że nie chodziło mu o królestwo, które czeka nas po śmierci, w innym świecie, ale o doświadczenia życia tu i teraz. O zagadkę i cud istnienia.

Zapominamy o nim zajęci codzienną troską o byt, o nasze ja, o przyszłość, próbujemy sobie zabezpieczyć to życie, coś w nim wygrać, zająć dobrą pozycję. To ludzkie. Ale Jezus jest w tym sensie postacią szaloną czy outsiderem, że mówi nam, że żyjąc tak, zawsze będziemy poza samymi sobą, nieautentyczni. Że prawdziwe życie to to, kiedy potrafimy dokonać radykalnego wyjścia poza czubek własnego nosa, stanąć poza przytłaczającą troską o siebie, o bliskich nawet.

Sięgam w mojej książce po greckie pojęcie czasu – kairos. To takie momenty w życiu, w których zapominamy, że jest przyszłość i przeszłość, doświadczamy intensywności istnienia tu i teraz w całej jego pełni. Jezus był radykalnie otwarty na to doświadczenie.

Narracja kościelna od tego oddala. Mainstream chrześcijański mówi o zbawieniu wiecznym, zmartwychwstaniu kiedyś z Chrystusem, budowaniu życia w perspektywie chronologii. A Jezus jest w tym sensie freakiem, że on potrafi się całkowicie spełnić w tej oto chwili i potrafi tym zarażać innych.

Próbuję w książce pokazać, jak ta myśl rozbudowuje się u niego. Ale wyjściowe jest to: królestwo Boże jest w nas. Królowanie życia jest w nas możliwe. Doświadczenie istnienia, którego częścią jestem. I że można się tym zachłysnąć.

Mam wrażenie, że wielu dziś to mówi: żyj tu i teraz. Czym Jezus różniłby się od współczesnego coacha, który głosi np. idee mindfulness?

– Jest bardziej wymagający. Nasze nowoczesne myślenie w dużej mierze sprowadza się do narcyzmu, samorealizacji. A Jezus mówi o takim byciu, które potrafi sobie nieustannie przekraczać. Uwolnić od ciągłego zafiksowania człowieka na sobie. Jezus mówi: jak ktoś cię uderzy w policzek, nadstaw mu drugi. To coś radykalnego.

Dlaczego mam nadstawiać policzek?

– Nie dlatego, że dostaniesz za to nagrodę w niebie. Ale dlatego, że masz wtedy szansę naprawdę wyjść poza siebie. Czujesz naturalny odruch zrobienia na odwrót. Jeśli jednak jesteś człowiekiem wolnym wewnętrznie, powstrzymaj się.

Wydaje mi się, że nie chodzi o to, żebyśmy dali się okładać tym, którzy nas biją. To pewna metafora, za której pomocą Jezus mówi, o jaki radykalizm chodzi: radykalnie wyjść poza troskę o siebie.

„Boże, czemuś mnie opuścił” – te słowa na krzyżu też pan wskazuje jako bliskie źródła. Co one mówią?

– Nietzsche interpretował to tak, że Jezus miał dotkliwe doświadczenie życia, ale je zafalszowywał, nazywając ów żywioł życia dobrym ojcem. I że dopiero na krzyżu został skonfrontowany z tym, że życie, któremu tak zawierzył, jest też groźne. Ja próbuję pokazać, że ta perspektywa jest obecna w jego wcześniejszych intuicjach. On nie był tworem z krainy lagodności. Był kimś, kto miał bardzo intensywne doświadczenie życia, które ma w sobie rys ekstatyczny, fascynujący i ma też groźbę.

„Przyszedłem rzucić ogień na ziemię i jakże bardzo pragnę, żeby on już zapłonął” (Łk 12, 49-53). To jest o tym?

– To na pewno słowa Jezusa. My w naszej codzienności nieprzypadkowo uciekamy przed poczuciem, że życie nad nami góruje, przekracza nas. Problem polega na tym, że jeśli całkowicie się zamurujemy na doświadczenie życia, które nas tworzy, ale też nam zagraża i nas kwestionuje, to wtedy jakoś usychamy jako ludzie, jesteśmy po prostu nieszczęśliwi.

To jest w Jezusie fascynujące, że czytamy dzisiaj mówi nam: możemy się oczywiście przed życiem jakoś zabezpieczać, ale w ten sposób nie budujemy własnej wolności, budujemy sobie klatkę. Jesteśmy w niej bezpieczni, ale uwięzieni. A tutaj chodziłoby o to, żeby umieć też wyjść z tej klatki, odetchnąć całą pierś tym, czym jest życie.

Był w tym młodzieńczy lęk przed ryzykiem życia na własny rachunek. Wejście w struktury Kościoła fantastycznie od tego zwalniało

To uwalniające: nic złego nie może mi się stać, bo cokolwiek się stanie, będzie częścią życia.

W tym sensie Jezus ma w sobie coś z szaleńca, kogoś transowego, a może nawet demonicznego. A Kościół te wszystkie niepokojące rysy chowa pod dywan. Wydobycie tego może być dla nas bardzo inspirujące.

Nie chodzi o to, by wszystko, co dotąd budowaliśmy, porzucić. Ale by wiedzieć, że to jest też dwuznaczne. Że zafiksowanie nowoczesne na tym, co moje – mój interes, moja racja, moja ideologia, mój świat, moja banieczka – od życia nas odcina. Że warto może też otworzyć się na to, co jest nieprzewidywalne. Czasem zrobić coś dla siebie samego zaskakującego. Podjąć decyzję, która będzie niepraktyczna, w logice zysku przyniesie mi stratę, ale da głębsze poczucie, że jestem, i pozwoli więcej tego tleńcu zaczerpnąć. Dlatego Jezus tak rozumiany może być przydatny dla ludzi takich jak ja, niewierzących.

Pisze pan o demoniczności Jezusa i jego bliskości z Lucyferem. Bardzo piękna herezja. A może nawet obraza uczuć religijnych.

– Można tak to nazwać, że dokonuję świeckiej herezji. Bardzo proszę. Dla mnie lucyferyczność Jezusa polega na tym, że on z perspektywy bezpiecznie poukładanych w życiu ludzi jawi się jako głęboko niepokojący. Ale to coś więcej jeszcze. Lucyfer mówi Bogu rozumianemu jako absolutny władca świata: nie będę służył. I Jezus też tak rozumianemu Bogu, który funduje ab-

solutny porządek świata, mówi: nie będę ci służył. Jezus staje po stronie pojedynczego człowieka, przeciwko grupie, prawu, hierarchii, plemienności, familiarności. On to wszystko rozsada, łamie reguły zastanego świata.

U Bułhakowa w „Mistrzu i Małgorzacie” nieprzypadkowo to właśnie szatan Wołand, obok Mistrza, jest jedynym sprzymierzeńcem opowieści o Jezusie. Czytając najstarsze słowa Jezusa, ja też widzę tę lucyferyczność jak na dłoni. I nie dziwię się faryzeuszom, którzy byli dobrze wykształceni, że posądżają Jezusa o to, że jest opętany.

Pana książka ma w sobie też sporo szaleństwa. Nie jest obliczona na czytelnice bezpieczeństwo.

– Proszę, żeby pani zachowała to „szaleństwo” w tekście, bo bardzo mi pochlebia. Jedno poczytne wydawnictwo odpowiedziało, że nie wie, co to jest, czy esej, czy autobiograficzna opowieść, i nie zaryzykuje wydania.

A może bali się, że Jezus się dziś nie sprzeda?

– Również. Usłyszałem, że to nie czas na książki o Jezusie. A moim zdaniem nie poradzimy sobie z tym religijnym obłędem, formą fetyszyzmu kulturowego, jeżeli nie będziemy o tym myśleć. Właśnie dlatego napisałem książkę o Jezusie Niechrystusie, że Chrystusa intronizuje się na króla Polski, że Chrystus spogląda na nas z billboardów, że jest zakaz obrazy uczuć religijnych.

Chrześcijaństwo nie pozwala na to, by z tym nagim życiem się zetknąć. Ono w ogóle tego nie szuka i nie uznaje za ważne. A właściwie zagradza do tego drogę. Chce, żebyśmy na wszystkie doświadczenia patrzyli przez pryzmat maszyny pojęciowej, która nazywa się doktryną, zbiorem dogmatów czy przykazań.

Mówił pan, że uwolnił się od Kościoła. Ale czy naprawdę? Czy ten pana powrót do Jezusa nie pokazuje jednak, że jeśli było się w Kościele tak głęboko jak pan, nie można się do końca uwolnić.

– Czuję się wolny, dlatego mogłem napisać taką książkę. Nie wierzę w Chrystusa. Nie wierzę w opowieść o zmartwychwstaniu. W tę całą operację, którą Bóg miał zaplanować jako chrześcijaństwo. Ale nie jestem ateistą.

Co to znaczy? W co pan wierzy?

– O tym właśnie jest ta książka. Nie wierzę w chrześcijańskiego Boga. Ale jest coś takiego, co w książce nazywam życiem, strumieniem istnienia, którego jesteśmy częścią. Dla mnie prawdziwe życie duchowe to właśnie możliwość skomunikowania się z tym. Można to nazwać inaczej: zagadką istnienia, naturą, nicością, sacrum... Wszystkie te pojęcia są tylko kryptonimami, do żadnego nie należy się bałwochwalczo przywiązywać jak do „Boga”.

Porzucając wiarę i kościelną ścieżkę myślenia, cały czas szukam czegoś, co jest w życiu święte, i nie boję się tego powiedzieć. Wydaje mi się, że to jest dziś potrzebne i w niczym nie mniejsza projekto- wi nowoczesnego świata. Przeciwnie, jest to coś, co może być inspiracją do przebudowania neoliberalnego modelu życia na bliższe naturze, solidarności społecznej, po prostu bardziej ludzkie.

To proszę jeszcze powiedzieć, co ma Chrystus do koronawirusa?

– Pisałem tę książkę na początku pandemii, a równocześnie felietony do „Liberté!” o tym, jak przeżywamy widmo koronawirusa krążące nad nami, co z nim robimy, co nam robi. I pomyślałem, że chociaż w dużej części jesteśmy już zsekularyzowani, to na poziomie kulturowym ciągle uwikłani w chrześcijańską narrację o Chrystusie jako mesjaszu, który przyjdzie i zakończy nasz świat, że przetrzuciliśmy to na koronawirusa. Urósł do rangi apokalipsy. Ci, którzy nie potrafią pomyśleć o Jezusie jako człowieku, jako Niechrystusie, będą go dalej oczekiwali, nawet jeśli są niewierzący, i nieświadomie zobaczą go nawet w koronawirusie. ●



FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA GAZETA

*Piotr Augustyniak

• filozof, eseista, dramaturg, profesor w katedrze filozofii Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. Autor książek, m.in. „Homo polacicus. Eseje o polskiej duszy”, „Wyspiański. Burzenie polskiego kościoła”, „Trans. Filozofia Cezarego Wodzińskiego”. Członek redakcji „Przeglądu Politycznego” i „Liberté!”. W Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie prowadzi cykl spotkań „Sztuka myślenia”. Jego książka „Jezus Niechrystus” ukaże się 28 marca w wydawnictwie Słowo/obraz terytoria